

DUCH NA WIEŻY KOŚCIELNEJ

Z nastaniem kwietnia pogoda stała się nieco łaskawsza. Podczas gdy nad rozległymi po horyzont podlaskimi równinami wciąż hulały wschodnie wiatry, ganiając po polach i łąkach tabuny śniegu, w miejscach nieco bardziej zacisznych pierwsze przyczółki zaczynała zdobywać wiosna. Podmokłe olsy zakwitwały kobiercem białych zawilców, po rowach rozchylały się płatki kaczynców. Słońce coraz częściej zapuszczało swe życiodajne promienie w leśne ostępy, przemieniając zwały szarawego o tej porze roku śniegu w miliony maleńkich strumyków formujących małe i wielkie rozlewiska.

W miasteczku R. od kilku dni mówiło się tylko o duchach. Wskaźniki pobożności osiągnęły poziom nie notowany od niepamiętnych czasów. Starzy ludzie opowiadali dawno zapomniane historie, a młodzi – jak nigdy dotąd – chętnie nastawiali uszu. Proboszcz rozpromienił się, widząc na niedzielnym nabożeństwie jednego z najbardziej zatwardziały w miasteczku grzeszników.

Wacław – mistrz piekarski, wracając nad ranem z roboty w lokalnej piekarni, usłyszał diabelski chichot z kościelnej wieży. To był ten pierwszy raz, lecz niestety nie ostatni. Następnej kwietniowej nocy Wojciech – syn kowala, pracownik magistratu, całkowicie będąc trzeźwym i w przytomności umysłu, ponownie posłyszał czarci rechot z wieży zabytkowego kościoła. Potem byli następni, w tym także ludzie poważni, powszechnie szanowani i nadużywający alkoholu tylko przy wyraźnych właściwych okazjach. Był post. W R. zasadniczo przestrzegano wstrzeźliwości, a diabeł na wieży dokazywał...

Do miasteczka trafiłem przypadkowo. Autobus, którym wracałem do Białegostoku z liczenia ptaków na powierzchni próbnej położonej we wschodniej części Wzgórz Sokólskich, zepsuł się.

W barze „Smakosz” uraczono mnie kiszka ziemniaczaną i miejscową sensacją – na kościelnej wieży zamieszkał duch. Postanowiłem zostać do rana i zmierzyć się z miejscowym „duchem”.

Wędrowałem wąskimi uliczkami kresowego miasteczka w złocistej poświacie księżycy, światłem przepojonym magicznym spokojem zmierzchu. Ani pies, ani ptak, ani żadne inne zwierzę nie odważyło się zmącić swym głosem tej jedynej, niepowtarzalnej chwili z pogranicza sił jasności i mroku. Rynek, na co dzień koślawy i marny, w miękkiej poświacie ulicznych latarni, przedstawiał się nader powabnie. Ławki na skwerku porośniętym klonami i lipami zachęcały do odpoczynku. Wybrałem tę najbliższą wieżę kościelnej. Mijały minuty wczesnowiosennego, ciepłego wieczora. Rogalik księżycy zawisł nad ciemną bryłą ruin dawnego klasztoru.

Z wieży kościoła dobiegł mnie wisielczy chichot. Cisza. Chrapanie dziecka i znów cisza. Nie miałem już

żadnych wątpliwości. Na kościelnej wieży osiedliły się sowy płomykówki. Jeszcze chwila oczekiwania i w bladym świetle ulicznych latarni ujrzałem piękną sylwetkę sowy o wyraźnie zaokrąglonych skrzydłach. Zanim nacieszyłem się ulotną chwilą, ptak zniknął w ciemnościach, oddalając się miarowym, bezgłośnym lotem. W upierzeniu płomykówki, która dorównuje wielkością wronie, przeważają kolory żółty, brązowy i szary, ożywione pomarańczowymi i niebieskimi płomykami. Czarne oczy sowy otacza szlara z piór w kształcie serca, nadająca jej dość niesamowity wygląd. Anglosasi wymyślili dla płomykówki wiele imion: sowa z małpią twarzą, sowa duch, kościelna sowa i... sowa-śmierć. W Polsce to po prostu płomykówka. Mimo, że sowy dość często gnieźdzą się w pobliżu ludzkich zabudowań, nawet bezpośrednio w ciemnych poddaszach, czy też na wieżach kościelnych, zawsze były dla ludu zwierzętami o tajemniczej naturze i niezwykłych – w stosunku do innych ptaków – zwyczajach. Nocny bezgłośny lot, życie w pojedynkę, niezwykle, niekiedy przerażające dla ludzi głosy od zawsze wiązały sowę z czymś mrocznym, groźnym, a nawet demonicznym. Największe wrażenie przy spotkaniu z sową robią jej oczy. Duże, błyszczące w nocnym świetle, patrzące na wprost, nadają jej niemal ludzki wygląd. Pohukiwania sów słyszane w ciemności kojarzono zazwyczaj ze zwiastowaniem śmierci lub głosem diabła, poszukującego ludzkich dusz. W dawnej Polsce uważano nawet sowę za pół-diabła, pół-ptaka. Częstość wierzono także, że w postaci sowy wciela się czarownica. Sowa przysiadająca na czyimś domu uważana była często za zwiastuna niechybnej śmierci któregoś z domowników.

Noc była wyjątkowo ciepła jak na połowę kwietnia. Zanim słońce oświetliło najniższe konary lip i klonów, sowa kilkakrotnie powracała do kościelnej wieży, niosąc w szponach żer dla potomstwa.

Przez lekko zaznaczone zielenią pąków korony lip i klonów, porastających skwer, spływał do miasteczka nowy, wiosenny dzień. Wróble, szpaki i gawrony wypełniły rynek koncertem bez partytury, pełnym ćwierknięć, krakania i szpaczych syków przeplatanych łobuzerskimi pogwizdywaniami. Dzień mocował się z nocą. Gdy nad wschodnią pierzeję rynku nadsięgnęła różowa łuna poranka, w zakamarkach lilipuciego parku, w głębokich cieniach, wciąż ukrywały się wspomnienia gwiazd, atramentowego nieba i księżycowego rogala. Płomykówka odpoczywała w wieży kościoła po nocnych łowach.

Tomasz Lippoman

Bibliografia:

Sowa w naturze i kulturze. Materiały z sesji naukowej zorganizowanej w ramach V Spotkań z Naturą i Sztuką, Uroczysko 2000.